



Lubię mężczyzn

Obserwując kobiety z którymi na co dzień mam kontakt, zauważyłam coś, co mnie przeraziło. Mianowicie to, że kobiety generalnie NIE LUBIĄ MĘŻCZYZN.

Obserwując kobiety z którymi na co dzień mam kontakt, zauważyłam coś, co mnie przeraziło. Mianowicie to, że kobiety generalnie NIE LUBIĄ MĘŻCZYZN.

Zastanówmy się przez chwilę... Żeby stworzyć tradycyjne małżeństwo, założyć rodzinę, potrzebna jest kobieta i właśnie mężczyzna.

Bez mężczyzny się nie da. Facet musi być.

Żeby ktoś mógł być DOBRYM nauczycielem, musi lubić dzieci. Musi mieć dobre, ciepłe, serdeczne podejście do dzieciaków, musi umieć ciekawie do nich mówić, tak, by chciały go słuchać. Musi mieć ogromną cierpliwość. To chyba oczywiste i nie ma sensu ciągnąć dalej tematu.



Żeby być DOBRYM pielęgniarzem/pielęgniarką lub też lekarzem, trzeba lubić ludzi. Trzeba mieć wiele serca, empatii, wycucia. Trzeba mieć umiejętność nie przenoszenia swoich osobistych problemów na życie zawodowe, umieć zostawiać swoje prywatne problemy i stresy przed drzwiami wejściowymi do szpitala, by myśląc o nich nie popełnić jakiegoś błędu. Ten zawód niesie ze sobą wielką odpowiedzialność - od niego może zależeć nie tylko zdrowie, ale i życie innego człowieka. Mieć trzeźwy umysł, dużą wytrzymałość psycho-fizyczną, itd.

Żeby być DOBRYM weterynarzem trzeba kochać zwierzęta, mieć do nich serce i cierpliwość. Żeby być dobrym stolarzem, trzeba kochać drewno. Żeby być dobrym kucharzem trzeba lubić gotować. Itd, itd.

Czy żeby być dobrą żoną i umieć stworzyć dobry, szczęśliwy związek, ciepły, przytulny dom, nie trzeba przypadkiem lubić mężczyzn? Chociaż tak trochę?

Jaka jest szansa na to, że człowiek, który nie lubi dzieci, będzie dobrym nauczycielem?

Jaka jest szansa na to, że człowiek, który nie lubi zwierząt, będzie dobrym weterynarzem?

Jaka jest szansa na to, że człowiek, który nie cierpi stać przy garach, będzie dobrym kucharzem i będzie z pasją wykonywać swój zawód?

Żona, to w pewnym sensie trochę taki "zawód wykonywany". Rzadko wyuczony, bo nigdzie nie uczą, jak być dobrą żoną. W szkole się to zagadnienie często pomija. A gdy dziecko wychowuje się w rodzinie, gdzie mama i tata żyją ze sobą jak przysłowiowy pies z kotem, to wchodząc w dorosłe życie nie ma pojęcia o tym, jak powinno wyglądać NORMALNE małżeństwo i normalny dom. Ja jestem przykładem takiego właśnie dziecka.

Tak na zdrowy rozum - jeśli kobieta szuka sobie męża i chce dobrze wykonywać "zawód żony" czyli swoją nową funkcję społeczną, to powinna się chyba zastanowić, czy przypadkiem nie powinna zacząć właśnie od polubienia mężczyzn takimi, jacy są. Bo (jak się przekonałam na własnej skórze) od samego nastawienia naprawdę bardzo dużo zależy.

Tymczasem, z jakąkolwiek koleżanką bym się nie spotkała, gdy zaczynamy rozmawiać, one wszystkie od razu zaczynają narzekać na swoich mężów. Spędzam godzinę czy dwie na słuchaniu o tym "jaki to ten mój mąż jest okropny".

To niemal norma.

Mało tego! Niedawno spotkałam się nawet z tym, że jakiś portal internetowy ogłosił konkurs na opowiadanie pod tytułem "Lamer roku". Za opisanie tego, jacy to faceci potrafią być straszni, oczywiście była przewidziana nagroda.

Tak się zastanawiam, dlaczego (tak dla równowagi) nie pisze się i nie organizuje konkursów na opowiadania o spotkaniach z fajnymi facetami? Dlaczego nie ogłosi się konkursu pt. "Mężczyzna roku" albo "Najlepszy mąż na świecie, to mój mąż!?" (z uzasadnieniem oczywiście, dlaczego jest tym najlepszym mężem)

Co to za głupia moda, by czepiać się tego, co najgorsze? Po co gloryfikować i skupiać się na tym, co złe (również w mężczyznach)?

Czy nie lepiej skupić się na tym, co w facetach dobre?

Czy nie przyniosło by większego pożytku, gdyby kobiety napisały co najbardziej cenią u swoich mężczyzn? (A tego jest jak na lekarstwo w stosunku do ilości wypowiedzi krytycznych. To daje pewien obraz tego, jakie tak w ogóle my, kobiety, mamy podejście do życia, do małżeństwa i do mężczyzn również.)

Panowie dowiedzieli by się przynajmniej, w którą stronę warto się rozwijać, jakie cechy charakteru warto u siebie wzmacniać i pielęgnować.

A tak?

Jaki jest pożytek z narzekania? Prawdopodobnie ileś tam kobiet przeczytało owe opowiadania "obsmarowujące" mężczyzn, utrwalając sobie w głowach to, jacy ci faceci potrafią być podli i

okropni.

Tymczasem mężczyźni wcale nie są okropni. Są po prostu mężczyznami.

W każdym razie statystycznie na pewno nie są gorsi od nas.

My, kobiety, też potrafimy zachowywać się paskudnie. Czyż nie?

Lubię mężczyzn. Zawsze lubiłam. Z całym dobrodziejstwem inwentarza. I spotkałam w swoim życiu wielu fajnych, mądrych facetów. A więc tacy na pewno są.

Bardzo lubię mojego męża (oprócz tego, że go kocham, bo lubić i kochać to nie to samo).

Lubię jego szorstkie, silne dłonie, kłujący zarost, jego łysinę i wydatne brzuszysko.

Lubię, jak chrapie w nocy. To jego chrapanie jakoś mnie uspokaja i odpręża.

Lubię ostry zapach jego potu nad ranem. Kojarzy mi się z bliskością i bezpieczeństwem.

Jak każdy mężczyzna bywa (przez swój ciężar i spore gabaryty) niezgrabny, zdarza się, że mnie przygniecie, albo złapie za mocno, ale to przecież facet! Robi to z miłości do mnie!

Stara się być delikatny i często mu się to udaje. Ale nie można przecież wymagać od mężczyzny, by miał wycucie i ruchy takie, jak gejsza!

Ponadto odkryłam coś niezwykłego.

Moja serdeczna przyjaciółka, pracując z dziećmi, ma taką zasadę w swojej nauczycielskiej pracy. Mawia - "Jeśli musisz dziecko poprawić, dać mu jakąś swoją krytyczną uwagę, musisz je przedtem najpierw trzy razy pochwalić." Czyli na jedną krytyczną uwagę muszą przypadać minimum trzy, nawet cztery pochwały. Gdy zachowuje się te proporcje, dzieci przyjmują krytyczne uwagi bez większego bólu. Mają wysokie poczucie własnej wartości, a jednocześnie można, dając im odpowiednie sugestie i uwagi, kierować ich rozwojem.

W przypadku dzieci ta metoda działa świetnie i daje rewelacyjne wyniki. Sama miałam okazję się o tym przekonać stosując jej metody.

Gdy dzieci słyszą wyłącznie krytyczne uwagi od rodziców i nauczycieli, gdy nie są odpowiednio często chwalone, wyrastają na ludzi przygniecionych, stłamszonych, o bardzo niskim poczuciu własnej wartości, o bardzo niskim poczuciu swojej wewnętrznej mocy. Są zakompleksione, nieszczęśliwe. Po jakimś czasie stają się też krnąbrne, nierzadko agresywne, bardzo się buntują przeciwko dorosłym, zrażają do nauki i wszelkich uwag ze strony dorosłych. We wszystkim są po prostu na "NIE".

(Czy to nie brzmi jakoś znajomo i nie kojarzy się przypadkiem z tym, jak zachowują się nieustannie krytykowani przez swoje żony mężowie?)

To moje odkrycie zbiegło się w jednym czasie z naszym bardzo poważnym kryzysem małżeńskim. A ów kryzys był z kolei związany z pojawieniem się w naszym życiu dziecka. Z dnia na dzień obserwowałam, jak nasz związek powoli się rozpada. Zadawałam sobie wtedy

pytanie - co się z nami stało? Przecież miało być tak pięknie! A tu, jak na złość, wszystko się sypie. Nasza miłość zaczęła umierać. Uczucie słabło z dnia na dzień. Nowa rzeczywistość zaczęła nas przerastać.

Tak sobie wtedy pomyślałam... O mężczyznach mawia się czasem, że to trochę takie duże dzieci. Coś w tym chyba jest. Może by spróbować tej metody na mężu?

Zrobiłam eksperyment.

Zaczęłam chwalić męża.

Nie krytykować, a chwalić. Chwalałam go za wszystko, za co tylko mogłam go pochwalić, bez zbytniego naciągania oczywiście.

I mąż powolutku zaczął się zmieniać. Na lepsze. Zrobił się dla mnie miłszy. Więcej pomagał. Wyluzował się.

Zaczął się częściej uśmiechać. Ze sflaczałego, zszarzałego faceta, przygniecione go nadmiarem stresów i obowiązków, przeobraził się w pełnego radości, energii i nonszalancji mężczyznę. Zaczęło mu się znowu "chcieć".

Jak to się mówi - złapał wiatr w żagle.

Ten fajny facet był w nim przez cały czas. Tylko ja go nie potrafiłam dostrzec.

Jego wady oczywiście dalej pozostały takie, jakie były. Ale starałam się nie zwracać na nie uwagi. Przymykałam oko. I dalej chwalałam. Również w towarzystwie, gdy inni słyszeli.

Zwłaszcza w towarzystwie.

Nic tak nie podnosi męskiej samooceny, jak chwalenie go przy innych ludziach.

Na początku nie było łatwo. Przyzwyczajona do tego, by mieć pretensje o wszystko, musiałam się nieźle natrudzić, by się powstrzymać przed wytykaniem mu błędów i krytykowaniem.

Taki skostniały i zszarzały mąż jakoś nie zachęca do tego, by go chwalić. Ale zawzięłam się.

Pomyślałam sobie - przecież to jest w jakiś sposób ciągle ten sam człowiek, za którego wyszłam. Przecież za coś go kiedyś podziwiałam. Coś mi w nim imponowało. Przecież gdyby nic takiego nie było, to bym się nie zakochała i z nim nie związała.

To wszystko musi tam gdzieś w nim nadal być!

Starałam się wszelkimi siłami, by dokopać się jakoś do tych jego cech charakteru, które tak bardzo mi imponowały. Które w nim podziwiałam, za które go szanowałam.

Zmieniłam strategię. Gdy cokolwiek zrobił dla mnie, zamiast wychodzić z założenia, że to jego "zasrany obowiązek", chwalałam go i bardzo mu dziękowałam. Mówiłam, jak wielka to dla mnie pomoc, jak bardzo to doceniam. Zaczęło się od drobiazgów - zakupy, które zrobił, wyrzucone śmieci, naprawiona klamka w łazience, poprawiona uszczelka od lodówki, naprawiony samochód... Chwalałam go nawet wtedy, gdy najpierw coś mu się zepsuło w komputerze, a potem udało mu się to samodzielnie naprawić.

Aby jeszcze "przypieczętować" to, że ja naprawdę bardzo doceniam wszystko, co dla mnie robi, to, jaki jest kochany i dzielny, zaczęłam mu się "odwdzięczać" wieczorem, w łóżku. Więcej pieśczoł, czułości, miłych słów. Trochę szaleństwa dla pikanterii.

"Jesteś cudownym mężem!", "Jesteś wspaniałym mężczyzną!" "Tak wiele mi ostatnio pomagasz", "Co ja bym bez Ciebie zrobiła?", "Tęsknię za Tobą!" "Kocham Cię!" - powtarzałam mu bez końca. I dalej powtarzam.

To były (i są) moje małżeńskie afirmacje. Stworzyłam w swojej wyobraźni obraz dobrego męża, a potem w TU I TERAZ zachowywałam się wobec niego trochę tak, jakby on już tym dobrym mężem był. A mąż (ku mojemu wielkiemu zdziwieniu) powolutku przeobrażał się w ten mój "ideał mężczyzny". Zaczął podążać za moim wyobrażeniem o nim.

Ale (to bardzo istotne) - ZACZĘŁAM OD SIEBIE! To ja pierwsza zaczęłam "dawać". Nie czekałam, aż on zacznie. Przecież mógłby nie chcieć zacząć. I co wtedy?

Zaczęłam od zmiany swojego sposobu myślenia. Od swojego podejścia. Najpierw zmienił się obraz i wyobrażenie mojego męża w mojej głowie na POZYTYWNY, a w konsekwencji on powolutku zaczął się zmieniać i upodabniać do tego mojego wymyślonego, pozytywnego obrazu.

Ponieważ bardzo dużo męża chwaliłam i jego poczucie własnej wartości ciągle rosło, zaczęłam zauważać, że po pewnym czasie zupełnie inaczej przyjmował moje krytyczne uwagi względem swojego zachowania. Już go to tak nie bolało, nie irytowało, zdawał się być spokojniejszy. Może dlatego, że czując się lubianym, kochanym i akceptowanym nie czuł się zagrożony? Wiedział, że i tak go kocham mimo wszystko. I przyjmował moje uwagi z większym luzem, spokojem, dystansem, bez obrażania się.

Widząc świetne efekty, konsekwentnie trzymałam się tego schematu postępowania i tej metody.

Nie trudno się domyślić, że po jakimś czasie mąż zaczął robić dla mnie dużo więcej, z ochotą, bez jęczenia i marudzenia, a nawet zaczął sam dopytywać się, czy przypadkiem nie trzeba mi w czymś pomóc.

Minął rok i znów był we mnie totalnie zakochany. Tak, jak na początku naszego związku.

Teraz tak sobie myślę - czy gdybym nie lubiła mężczyzn (w tym mojego męża), to mogłoby się udać? Czy by mi się chciało? Czy by mi zależało?

Gdy pojawiło się w naszym życiu dziecko, świat nagle stanął na głowie. A my, przygniecenii odpowiedzialnością, tonący po uszy w długach, zestresowani, zniechęceni - jako związek, staczaliśmy się w stronę przepaści.

Często się kłóciliśmy. On całymi dniami siedział "w jaskini", a ja ryczałam i złorzeczyłam mu. Oboje byliśmy skłonni bardziej obwiniać tę drugą osobę o wszystkie klęski, niż poszukać winy za istniejący stan w sobie.

On miał pretensję do mnie, a ja do niego.

Ale mimo wszystko, ja nigdy nie przestałam go lubić - i jako człowieka, i jako mężczyzny. Zamiast wyrzucać mu to, że przez niego zszarzałam i stałam się nieszczęśliwa w związku, zadałam sobie pytanie - co spowodowało, że on tak bardzo zszarzał i że się tak bardzo zmienił? Przecież kiedyś był zupełnie inny. Było w nim tyle energii, tyle radości życia, tyle chęci. Gdzie to się wszystko podziało? Przecież nie mogło ot tak sobie po prostu zniknąć, wyparować! Musi być tego jakaś przyczyna!

A może to przeze mnie?

Może to ja się zmieniłam? Może to też moja wina, że on nie jest już taki, jak dawniej? Czy ja na pewno swoim zachowaniem przysparzam mu powodów do radości?

Nie mam dla niego czasu, prawie nie uprawiamy seksu, ciągle chodzę zmęczona i rozdrażniona. Przejmuję się każdą pierdołą. Ciągle się go czepiam i wytykam palcem każdy błąd. Jestem smutna, narzekająca na wszystko. Prawie się nie uśmiecham. Ciągle tylko dziecko i dziecko... Kupki, zupki, kolki, ząbki... A gdzie w tym wszystkim miejsce na MY? Może on też rozczarował się mną w jakiś sposób i dlatego tak zszarzał i zgorzkniał? Może też inaczej wyobrażał sobie nasze wspólne życie?

Zaczęłam zmiany od siebie, od swojego nastawienia. Wiedziałam, że go kocham i że chcę z nim dalej być. To był pewnik.

Ta transformacja zaczęła się ode mnie. Ktoś musiał ją zacząć. Ponieważ bardzo mi zależało, by wszystko naprawić, postanowiłam, że będę to ja.

Jego pociągnęłam niejako za sobą.

Wiedziałam, że on jest dobrym człowiekiem i że też mu na mnie zależy. Gdy udało mi się w nim na nowo zobaczyć dawnego męża, te wszystkie jego dobre, pozytywne cechy charakteru zaczęły się przebijać przez skorupę kompleksów, niedowartościowania, stresu, lęków.

Gdy się da drugiemu człowiekowi swoją miłość, sympatię, swoje zaangażowanie, swoją akceptację, gdy się potrafi dostrzec w nim dobro (jego talenty, umiejętności, dobre cechy charakteru), jest spora szansa, że ta skostniała zewnętrzna skorupa, ten pancerz, który służy temu, by się bronić przed kolejnymi emocjonalnymi atakami i urazami zadawanymi przez partnera, zniknie.

Który fajny facet chciałby odpłacać złem za dobro?

A przecież on był fajnym, normalnym facetem!

Dopóki nie nauczyłam się mówić do mojego męża tak, by go nie ranić, ta skorupa, ten pancerz ochronny był mu potrzebny. Gdy poczuł do mnie zaufanie, gdy poczuł się przy mnie bezpiecznie, sam ten pancerz odrzucił, jako rzecz zupełnie niepotrzebną, zbędną. Już chyba sam nie panięta, kiedy ostatnio musiał uciekać przede mną do swojej "jaskini".

Przyjaciele nie potrzebują pancerzy. Przyjaciele się na wzajem szanują, ufają sobie, ale też w razie wpadki potrafią sobie wybaczać. W końcu jesteśmy tylko ludźmi.

Przyjaźń, to najpiękniejsza (i najważniejsza!) rzecz na świecie.

Mój mąż jest moim przyjacielem i zawsze nim był. Czy wyszłabym za niego, gdybym nie uważała go za swojego przyjaciela? Przecież nikt świadomie nie decyduje się na małżeństwo ze swoim wrogiem! Było by to totalną głupotą przecież.

Czemu więc po ślubie tak często się tymi wrogami dla siebie stajemy?

Lubię mężczyzn i staram się myśleć o nich jak najlepiej.

I mam łatwość zaprzyjaźniania się z mężczyznami.

Może w tym właśnie tkwi sęk? W pozytywnym do nich nastawieniu?

Jak to jest?

Czy przypadkiem nie reagujemy sympatią na osoby, które nas lubią i które mają dla nas zawsze otwarte serce i dobre słowo? I odwrotnie - czy my, dając innym swoją dobroć i uśmiech nie powodujemy przypadkiem, że te osoby zaczynają nas z kolei lubić i też się do nas uśmiechać?

Zawsze jest tak, że od kogoś/czegoś trzeba zacząć.

Ja zaczęłam zmieniać świat od siebie. Zaczęłam dawać światu (oraz mężowi) to, co najlepsze.

Zwróciło mi się wszystko (ta praca, ten wysiłek) z nawiązką.

Mam wspaniałego męża, który (po 15 latach wspólnego życia) znów jest we mnie do szaleństwa zakochany, fajnego synka, spokojny, ciepły dom. Czuję się bardzo szczęśliwa.

Czegóż więcej może chcieć kobieta?

Tekst pierwotnie ukazał się na moim blogu: marcelina.blox.pl